

Ewa Nowak-Juchacz

Kilka uwag do „Wprowadzenia” Miłowita Kunińskiego

Diametros nr 5, 183-186

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Kilka uwag do „Wprowadzenia” Miłowita Kunińskiego

Ewa Nowak-Juchacz

1. Pojęcie „podstawy”

Otóż demokracja jako „dzieło otwarte” wszystkich obywateli nie może być niczym doskonałym, gdyż geniusz polityczny jest przymiotem niezmiernie rzadkim – szczególnie ten „praktyczny”. Osobiście obawiam się skrajnego przeciwstawienia proceduralnej i substancjalnej definicji demokracji. Na pewno bowiem zręby tego ustroju wyłoniły się z oczekiwań czy nawet ideałów, a ideały zawsze mają wymiar normatywny. Jednakże wolna samoorganizacja (kiedyś mówiono: „samowładztwo”) względnie dojrzałej ku temu społeczności – bo, jak rozumiem, to właśnie oznacza dla Miłowita Kunińskiego „zmiana władzy” – w którymś momencie zrutynizowała się do czystych procedur; dlatego dziwi dzisiaj to skądinąd oczywiste pytanie o „podstawy”. Z pojęciem tym jest pewien kłopot, szczególnie w zestawieniu ze słowem „transcendentny”: po sekularyzacji trzeba tego słowa używać w takim znaczeniu, jak czynili to nie lubiani u nas prawnicy neokonserwatywni: Carl Schmitt i Ernst Juenger. Chodzi tu o pewne niezmienniki, których nie może z dnia na dzień uchylić potoczny dyskurs publiczny, partyjno-frakcyjna moda czy ekscesy spychające demokrację już to w „prawo”, już to w „lewo”.

Klasyczna definicja powiada, że demokracja jest porządkiem opartym na *woli jednostek* (jako woli tego, co „powszechne”, w ten sposób, że każdy może mieć w tym udział, a gdyby go utracił, to „wola powszechna” jako sprawiedliwość przywraca mu to przynajmniej w formie „prawa do...”). Pytanie o podstawy demokracji jest w istocie pytaniem bardzo prostym: *czemu właściwie chcemy demokracji?* Miłowit Kuniński słusznie wskazuje, że odpowiedź dyktują tu *indywidualne interesy, bezpieczeństwo i potrzeby obywateli*. Ale interesy te – czy też ich zaspokojenie – to nie jest cała odpowiedź, o ile pytanie ma mieć wydźwięk

ponadliberalny. Weźmy inne pytanie: czy chcemy, aby demokracja dawiała w efekcie coś więcej? Otóż na pewno: ale w tym sensie, że da nam gwarancję, abyśmy nasze potrzeby i interesy mogli zaspokajać i za pięć, i za pięćdziesiąt lat na zasadach coraz bardziej optymalnych dla wszystkich.

Optymalizacja i doskonalenie procedur to nic innego jak usprawnianie demokracji i ulepszanie porządku, w którym żyjemy. To splot *proceduralno-substancjalny* o zabarwieniu wybitnie normatywnym. Po pierwsze bowiem, demokracja jest to modus polityki społecznej, który nie może być oderwany od jakkolwiek pojętego „dobra publicznego”. Ale to dopiero jedna, „przyjazna” społeczności strona tego ustroju.

2. Władza

Bo jak w każdym innym ustroju politycznym, w demokracji występuje i musi występować *władza*. Nieco inaczej aniżeli Miłowit Kuniński uważam, że kluczowym momentem fenomenu władzy nie jest sama jej *zmiana* – no chyba że w radykalnym sensie zaprowadzenia nowego ustroju – ani też nie jest nim jej przejmowanie, utrzymywanie, umacnianie i wszystko, co umożliwi dopiero jej sprawowanie. Najważniejsza jest legitymacja (podstawa), skuteczne *sprawowanie władzy* (tzn. jej rzeczywista funkcja) oraz autorytet jako efekt tych dwóch rzeczy. Demokratyczna legitymacja wyboru władzy nie jest jednak tym samym, co legitymowanie suwerennych decyzji rządzących. Nie jest więc do końca prawdą, że „jacy wyborcy, takie rządy”. Ale jest prawdą, że republikański proces delegowania suwerenności z „dołu” (ludność) do „góry” (władza) i organiczna struktura demokratycznego społeczeństwa dają się opisać przy użyciu platońskiego (a lepiej jeszcze – hobbesowskiego) modelu „sztucznego” ciała politycznego *resp.* osoby politycznej (o tym mówił też Rousseau), wzorowanej na planie ludzkiej duszy: Wariant Hobbesa jest o tyle bardziej realistyczny, że rządy nad „ciałem politycznym” nie muszą być sprawowane przez kogoś, kto uosabia jakiś szczególny *geniusz* czy *zgoła mądrość filozofów*. Wprawdzie Kant zarzucił Hobbesowi, że chciałby oddać władzę „byle komu”, ale chodzi tu raczej o symboliczne reprezentowanie przez „osobę powszechną” takiego stopnia

racjonalności, który umożliwia jej odróżnienie roszczeń partykularnych od rozumnych, czyli „ważnych” powszechnie i trzymanie się tego odróżnienia w procesie decyzyjnym – szczególnie w przypadku wykonywania władzy. W demokracji, którą można też określić „polem napięć” pomiędzy różnymi, często sprzecznymi interesami różnych grup, ten przymiot urzędnika państwowego wydaje się najbardziej pożądanym i to właśnie powinno być formalne kryterium „dobrych” rządów. Ale w mniemaniach subiektywnych kryterium to ustępuje miejsca *przekonaniu o moralnych skutkach sprawowania władzy, gdyż skutki te dotyczą każdorazowo czyjś jednostkowego „dobra”*. Rozbieżność ta jest moim zdaniem naturalna i nieusuwalna. Co więcej, demokracja jest takim właśnie ustrojem, który ją nieustannie „wypełnia” (czemu służą zmiany władzy, doskonalenie i zabiegi o przejrzystość procedur, nowelizacje ustaw i przepisów wykonawczych, protesty społeczne, tworzenie instancji kontrolujących proces polityczny itd.). To tutaj jest miejsce dla wolności obywatelskiej i dla nieustannego dochodzenia tej wolności do swojej „prawdy”. Ta przestrzeń nie została wytworzona dopiero przez demokrację; jest ona źródłową strukturą wszelkiej organizacji politycznej, w której demokracja znalazła dla siebie miejsce, nie będąc jednak w stanie tych ram rozsądzić (pomijając naturalnie kilka hipotez czy też marzeń filozofów polityki o jej „zniesieniu” [Marks], czy stopniowym „zanikaniu” [Fichte] „etycznie” dojrzałej społeczności ludzkiej). Bo przecież demokracja przyjęła za swoją najpierwszą zasadę samozwrotność tej bipolarnej struktury, gdzie lud „daje” władzę po to, żeby samemu jej podlegać.

3. Transcendentne podstawy demokracji

Pojęcie „transcendentny” jest dla mnie rzeczywiście wciąż problematyczne... Najchętniej zastąpiłabym je innym – zapewne dla wielu przerażającym – ale chyba bardziej precyzyjnym. A gdyby tak uznać za *transcendentalne warunki możliwości* to wszystko, co M. Kuniński wymienia w 3. punkcie swojego „Wprowadzenia”? Wtedy nie musielibyśmy zastanawiać się nad ich źródłami, lecz moglibyśmy założyć, że *racjonalność świata społecznego (wyrażająca się w „ogólnych” prawidłowościach a może i prawidłach kiedyś jednak postulowanych przez człowieka)* to

jest coś, co przyjąć musimy, jeśli chcemy mieć demokrację albo inny cywilny i po ludzku zorganizowany porządek. Nie jestem przekonana, czy potrzeba dla „transcendentalnych” warunków jakiegoś transcendentnego umocowania. Zachowują one ważność nie dlatego, że pochodzą od Boga, bo wolność, rozumność, prawa ludzkie są wartościami samymi przez się. I nie tracą one ważności dlatego, że ktoś ich nie respektuje czy zgoła obraża. Tam, gdzie się je uznaje, z pewnością można coś zbudować.

4. „Więcej polityki i więcej demokracji”

Zaintrygowała mnie teza Czesława Porębskiego na temat swoistej „zamkniętości” postawy demokratycznej. Rzeczywiście jest jakoś tak – i to chyba też z powodu przeceniania teorii dyskursu i jakby nieograniczonej zdolności jego uczestników do dialogu, kompromisu czy zgoła konsensu – że „postawa” wymaga jakiejś spójności, jakiegoś „jądra”. Nie można i nie należy nawet do wszystkiego się „dopasowywać” (jakkolwiek już Hobbes wymienił tę zdolność pośród „cnót” czy raczej „praw natury” w *Lewiatanie*). Dopasowanie i otwartość powinny być raczej przejawem szacunku dla dobrze pojętej wolności innych, ale szacunek nie jest jakimś „brataniem” się i uległością, lecz raczej rodzajem dystansu; oznacza on co prawda ograniczenie własnych roszczeń, ale samoograniczenie to także przybranie postawy o wyrazistych konturach. Człowiek jest osobą, indywiduum – demokracja nawet szczególnie promuje ten indywidualizm. Lecz przesada w tym kierunku prowadzi do zaniku więzi społecznych, do „wypłukania” cementu, jakim jest społeczna solidarność, wzajemna życzliwość czy choćby uprzejmość. Ten problem ma jednak wymiar bardziej etyczny aniżeli polityczny – czy istnieje w ogóle jakieś „spoiwo” polityczne między ludźmi?